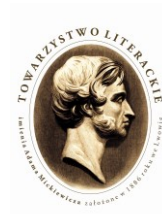


Pamiętnik Literacki 2011, 2, s. 277-284



**Odpowiedź na recenzję Wacława
Lewandowskiego książki Violetty
Wejs-Milewskiej „Radio Wolna Europa na
emigracyjnych szlakach pisarzy”**

Elżbieta Pleszkun-Olejniczakowa

ELŻBIETA PLESZKUN-OLEJNICZAKOWA
(Uniwersytet Łódzki)

ODPOWIEDŹ NA RECENZJĘ WACŁAWA LEWANDOWSKIEGO
KSIĄŻKI VIOLETTY WEJS-MILEWSKIEJ
„RADIO WOLNA EUROPA NA EMIGRACYJNYCH SZLAKACH PISARZY”

Wacław Lewandowski w swej recenzji książki Violetty Wejs-Milewskiej *Radio Wolna Europa na emigracyjnych szlakach pisarzy* [...] („Pamiętnik Literacki” 2010, z. 3) wywołuje poniekąd i mnie do tablicy (s. 214–215), dlatego chciałabym skorzystać z przysługującego mi prawa do odpowiedzi i ustosunkować się do jego sądów. Pragnęłabym jednak też, by mój tekst nie był odczytany wyłącznie jako reakcja na wymienienie mego nazwiska w dość szczególnym kontekście, ale – może nade wszystko – by stanowił propozycję i zachętę do dyskusji nad charakterem recenzji naukowych w ogóle. Jak się wydaje, wpływ na negatywną recenzję Lewandowskiego wywarły cztery zasadnicze kwestie:

1. Autor recenzji na równi traktuje błędy zawinione przez zbyt szybką i niestaranną korektę z błędami dotyczącymi *meritum*. Tymczasem sądzę, że przed „oczyszczeniem przedpola” w ogóle trudno mówić o dyskusji merytorycznej.

2. Lewandowski ma najwyraźniej własną wizję tej książki, co wszelako nie upoważnia go – ani nikogo – do wyboru zakresu badań, wolność badań jest bowiem wartością niezbywalną. Recenzenta zobowiązuje także, moim zdaniem, uszanowanie kreacji autora książki, jego oceny oraz interpretacji faktów, jeśli one same nie budzą wątpliwości.

3. Jak się zdaje, recenzent wyraźnie niżej ocenia współpracę z radiem niż działalność „czysto” literacką. Oczywiście, każdy ma prawo do swych preferencji i może – czym straszyl już Miriam-Przesmycki – uważać np., że „radio zabije książkę”¹. Media się mnożą, a sądy w tej kwestii złożyły się już zapewne na sporą biblioteczkę. Przeświadczenie, że radio z definicji – z jakichkolwiek powodów (przemijalność, inny nośnik, inny sposób wyrażania i kreowania świata, inna semiotyka gatunków lub tp.) – jest czymś gorszym, a sztuka audialna *ex definitione* stoi niżej niż sztuka literacka, bardzo utrudnia, a może wręcz uniemożliwia sprawiedliwą ocenę. Jeśli ktoś pyta, po co wymyślono radio, w szczególności zaś Radio Wolna Europa, które – jak chce Lewandowski – „było instytucją amerykańską, [...] przyćmioną [...] polityką amerykańską o celach doraźnych, niezbędnych z politycznymi interesami emigracji niepodległościowej” (s. 208), trudno mu o bezstronność, nawet przy najlepszych chęciach. I to się w lekturze tej recenzji przebija. Można znacznie wyżej stawiać dokonania prasy czy wydawnictw emigracyjnych, ale źle się dzieje, gdy recenzent oceniający książkę noszącą tytuł, w którym pierwszym słowem jest „radio”, nie potrafi dostrzec np. okoliczności, iż słuchanie radia było dostępniejsze, dawało poczucie bezpośredniego kontaktu rodakom żyjącym tak w kraju, jak i na emigracji, wzmacniając

¹ Z. Miriam-Przesmycki, *Przyszłość radia*. „Radio” 1927, nr 10, s. 4: „Radio [...] usunie z powierzchni ziemi słowo drukowane. Kto słucha radia [...], ten nie ma czasu na czytanie książek i gazet. [...] radio zabije książkę”.

– mimo wszystkich swych słabości czy niedociągnięć – siłą oddziaływania, także artystycznego. Już w połowie lat trzydziestych ubiegłego stulecia Wańkowicz zauważał:

pisarz może napisać książkę, której nikt nie będzie czytał [...]. Między momentem wyprodukowania a momentem konsumpcji istnieje [...] niepewny interwał kolportażu. W radiu ten interwał jest sprowadzony do minimum: otwarcie głośnika to wszystko, czego się żąda².

Pewnie, że każdy ma prawo zgodzić się ze zdaniem Zelwerowicza z 1934 roku, iż gdy słucha radia, „nie odnosi żadnego wrażenia – przeciwnie, czuje się obełgany. [...] [radio] nie ma żadnej przyszłości”³. Można o tym dyskutować, są jednak pewne granice. Owe granice wyznacza dla mnie szacunek wobec przedmiotu badań, wobec osoby, której prace oceniamy.

4. Dopiero na ostatnim miejscu pomieściłabym ocenę, choć też nie jest ona bez znaczenia, do pewnego stopnia uwarunkowaną także własnymi ocenami politycznymi.

Zacznijmy od punktu pierwszego: wytykanie błędów wynikających z niedbałej korekty wydawcy nie jest normą, tym bardziej że Lewandowski czyni to tak szczegółowo, iż samo ich wyliczenie (s. 214) zajmuje mu niemalą część tekstu. Oczywiście, niezbyt staranna korekta wydawnicza nie podnosi urody książki, słabą zaś adiustację redaktora widać gołym okiem. Może trafny jest więc domysł Lewandowskiego, iż „jakiś szalony korektor dokonał na niej akcji sabotażu” (s. 214); sądźmy zatem korektora. Na usprawiedliwienie tegoż „sabotażysty” można rzec tylko, że miał co sabotować, bo książka liczy p o n a d 7 3 0 s t r o n i c! Czy recenzent naprawdę wierzy w to, że autorka z tak znaczącym dorobkiem naukowym nie wie, jak należy pisać w zgodzie ze składnią i ortografią? Jak zatem, wobec tak podstawowych braków, poradziłaby sobie nie tylko jako organizatorka sesji naukowych (największa sesja zaowocowała 1000-stronicowym woluminem: *Paryż – Londyn – Monachium – Nowy Jork. Powrześniowa emigracja niepodległościowa na mapie kultury nie tylko polskiej*. Białystok 2009), ale i jako redaktorka naukowa książek pokonferencyjnych?

Lewandowski często i jakby z lubością powtarza, iż „autorka nie wie...” A sugeruje braki przeróżne, acz zawsze jednakowo dyskwalifikujące. Tak więc np. informuje, że w recenzowanej książce „Znajdziemy [...] sugestię nowej periodyzacji literatury PRL”. Dalej zaś stwierdza stanowczo: „komentarz umieszczony na s. 487 wskazywałby, że uznaje ona [tj. Wejs-Milewska] terminy »sorealizm« i »literatura PRL« za synonimy!” (s. 209); śmiało to twierdzenie, choć skąd autor recenzji czerpie w tej materii taką pewnością, niestety – mimo iż byłam, jak sądzę, czytelnikiem uważnym – odgadnąć nie potrafie.

Kolejnym pretekstem do wykazania uderzającej „niewiedzy” autorki jest sprawa śmierci Wierzyńskiego; to oczywiście przeoczenie zostało stosownie napiętnowane, choć przypis podawał właściwą datę emisji tej informacji. Autorka nie wie też – zdaniem recenzenta – jakie sztuki napisał Witkacy (s. 209); mało tego – widać zapomniawszy już o swej koncepcji „szalonego korektora”, Lewandowski w dalszym ciągu sugeruje, że Wejs-Milewska również „nie opanowała pisowni nazwisk czołowych postaci emigracyjnego życia literackiego” (s. 214). Z jego recenzji wyłania się obraz osoby skrajnie niedouczonej, choć sporządzony przez nią aneks, skądinąd prawie (!) podobający się recenzentowi, nawet „mógłby być wartościową antologią”, gdyby nie to, iż tenże recenzent, stale czujny, musi sobie „zadać pytanie o rzetelność odczytania, którą legitymuje się Wejs-Milewska”. To już naprawdę mocno. Gubienie się w drobiazgowych nierządno zarzutach powoduje w efekcie pewną ich bałamutność – jak choćby w „historii z Czechowem” (s. 213). Lewandowski twierdzi, że Wejs-Milewska imputuje Terleckiemu „niechęć do kultury Wschodu”; dalej

² M. Wańkowicz, wypowiedź w: W. Hulewicz, *Teatr wyobraźni. Uwagi o słuchowisku i literackim scenariuszu radiowym*. [Cz.] 2: *Głosy dyskusyjne*. Warszawa 1935, s. 85.

³ *Wywiad z Aleksandrem Zelwerowiczem*. „Antena” 1934, nr 9, s. 14.

rzecz już dotyczy interpretacji przykładu z Czechowem i tak to przy 530 z górą stronicach tekstu własnego autorki ginie w sporze o już – moim zdaniem – marginalia intelektualne. Nie mam tu na myśli, oczywiście, sporu w kwestii, czy Czechow może stanowić przykład „kultury Wschodu”; tu o żadnej polemice nie może być wszak mowy. Spór schodzi na manowce w rodzaju: „odczytałem to, że ona odczytała”... itd.; niestety, ten sposób oceniania pojawia się w całej recenzji. Na podstawie własnego przeświadczenia o popularności Herlinga-Grudzińskiego na emigracji, do którego badacz literatury emigracyjnej ma oczywiście prawo, drobiazgowo informując nas, po którym głosowaniu nagrodę „Wiadomości” dostała Bączkowska zamiast Herlinga (skoro po 14 głosowaniach – zapewne niesprawiedliwie), skontaminowawszy swe własne poglądy z tezą (a nie: twierdzeniem) Wejs-Milewskiej, że „Terlecki [...] skłaniał się ku mniemaniu [...], że słuch jest zmysłem subtelniejszym [...] od wzroku” (co wedle mej znajomości wypowiedzi Terleckiego z okresu międzywojennego jest całkiem możliwe), Lewandowski wysnuwa ostatecznie bardzo mocny zarzut wobec autorki, pisząc „o braku dystansu do przedstawianych zagadnień, braku krytycyzmu i chęci wnikięcia w konteksty danej wypowiedzi, wreszcie – braku zwykłej dociekliwości badawczej. Bywa też, że autorka z prostych faktów wyciąga, powiedzmy, dziwaczne wnioski” (s. 213). To ostatnie stwierdzenie tyczy cytowanych tu słów Wejs-Milewskiej o Terleckim. Tymczasem jej supozycja wydaje się nie „dziwaczna”, ale wielce prawdopodobna w zestawieniu z takim np. jego zdaniem, publikowanym na łamach „Pionu” w 1936 roku: „Można powiedzieć, że radio – w przeciwieństwie do kina – dla olśnionych chwytnością jego dźwiękowej powierzchni jest rewelacją słyszalności świata”⁴.

We wszystkim więc warto ważyć proporcje – także w zarzutach. Zalet książki recenzent na dobrą sprawę zdaje się nie dostrzegać. Jest to o tyle zdumiewające, iż książka na swym „odbiorczym szlaku” została nie tylko pozytywnie odebrana przez innych badaczy, ale także uhonorowana w Londynie w roku 2010 przez Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie nagrodą Władzy Majewskiej; jak podkreśliła w laudacji Nina Taylor-Terlecka: za „najlepszą książkę o emigracji”⁵. Oczywiście i ta praca, jak chyba każda, nie jest wolna od pewnych usterek, na które również wskazałam w mojej recenzji, jednak czytając wywód Lewandowskiego mam poczucie, iż skrupulatne ich kolekcjonowanie czyni – może dlatego, że często tyczą w istocie spraw mniej istotnych – całą recenzję dość drobiazgową, gdzie plan pierwszy jest tak doskonale, niczym przez okular mikroskopu, widoczny, iż trudno nam o właściwą perspektywę oglądu. Znamienny jest choćby ten fragment recenzji, gdzie Lewandowski, pisząc o rozdziale poświęconym Straszewiczowi, stwierdza: „Niewątpliwie najlepszym, tzn. w najmniejszym stopniu obciążonym błędami i nieścisłościami, rozdziałem książki jest ten poświęcony Czesławowi Straszewiczowi [...]” (s. 213), po czym nie podaje żadnego (!) przykładu owych błędów i nieścisłości. Szkoda, że zbyt wiele wniosków jest wysnuwanych „na wyrost” (np. sugestia, na podstawie kolejnej pomyłki adiustacyjnej, iż Wejs-Milewska nie ma pojęcia, o czym traktowały rozważania Hannah Arendt i stąd w jej książce jawi się „Reichmann” zamiast „Eichmanna”). Tymczasem recenzowana książka ma charakter pionierski i w 90% zawiera materiał dotąd nie publikowany. To prawda, że zabiegi dokumentacyjne nie w każdym przypadku spotykają się z entuzjazmem recenzentów (wydają się zapewne mniej efektywne niż analityczno-interpretacyjne czy teoretyczne partie rozpraw naukowych), są jednak zawsze rezultatem wielkiego trudu gromadzenia materiałów i choć mogą być materiałem do kolejnych reinterpretacji, to same w sobie stanowią niezbywalną wartość.

Sądę, że sytuacja zaczyna się robić niebezpieczna, gdy nawet znawca literatury nie przyjmuje „zaproszeń do rozmowy”, nie ma ochoty na dyskusję, a mnożąc li c z b ę za-

⁴ T. Terlecki, *Temat wymowy w radiu*. „Pion” 1936, nr 37, s. 3.

⁵ N. Taylor-Terlecka, *O badaczce-drohiczyńniance słów parę. Nagroda Literacka Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie*. „Pamiętnik Literacki” (Londyn) t. 39 (2010), s. 19.

rzutów niekoniecznie uwzględnia ich w a g ę, najwyraźniej zakładając, iż – uprzywilejowana wszak – pozycja recenzenta upoważnia go do głoszenia autorytatywnych sądów, co też czyni on z zaskakującą wiarą w ich pewność i bezdyskusyjność, wiarą tym bardziej zadziwiającą, że wszak poruszana tu materia często sama w sobie nie jest jednoznaczna. W przypadku książki Wejs-Milewskiej spierać się można tak o samą rolę i znaczenie RWE, jak o znaczenie i ocenę działań Nowaka-Jeziorańskiego czy – w końcu – pięciu twórców wymienionych w podtytule książki. Wobec ilości pierwszy raz opublikowanych materiałów można z dużym prawdopodobieństwem przyjąć, że nawet autor recenzji przynajmniej z częścią z nich po raz pierwszy zapoznał się czytając ocenianą książkę.

Rzecz jasna, każdy badacz tematyki emigracyjnej, a więc i Waław Lewandowski, ma oczywiście prawo do własnego zdania. Ale aż tyle i tylko tyle. Recenzja niesie wartościowe uzupełnienia, co trzeba podkreślić i docenić, nie jest już jednak, jak sądzę, sprawą czysto „uznaniową” choćby forma, w jakiej się swe zastrzeżenia zgłasza; szczególnie w takiej liczbie. Idzie tu także o sprawę ogólniejszą i ważniejszą – a podkreśloną na początku mego tekstu. To zrozumiałe, że Lewandowski jako badacz jest przywiązany do własnej interpretacji faktów. Zawsze jednak uważałam, że w recenzjach naukowych autor recenzji winien ocenić maksymalnie bezstronnie p r a c ę, j a k ą o t r z y m a ł, nie zaś – co nierzadko, niestety, się zdarza, a co w humanistyce wydaje się szczególnie niebezpieczne – postrzegać ją poprzez pryzmat własnych o niej wyobrażeń, uznając wyłącznie własny pomysł na książkę i własną interpretację jej tematu. Niejednokrotnie spoza wierszy tekstu recenzji dają się dojrzeć – bardziej lub mniej wyraźnie – konspekt książki, jaką Lewandowski napisałby sam na ów temat. I wtedy jednak także nie byłaby to „cała prawda”. Od początku XX wieku, od nadziei Husserla na stworzenie metody, a potem również na stworzenie fundamentu wszelkiego poznania naukowego, który mógłby zrealizować postulat poznania maksymalistycznego, a więc – podkreślmy – nieuchronnie też apodyktycznego i nie podlegającego zwątpieniu, chyba nikt później nie podjął już takiej próby, a fenomenologia, jak się okazuje po zestawieniu dat, umarła, nim się na dobre urodziła. Prawda bowiem stoi, co najwyżej, jak u bliskich mi hermeneutyków, na pozycji idei regulatywnej. Niełatwo jest odejść od własnego punktu widzenia, ale wszak jako recenzenci stajemy w roli służebnej. Wolno nam – a nawet należy to zapewne do naszych obowiązków – wskazać, co można w ocenianej pozycji udoskonalić (Lewandowski np. odsyła, na s. 211–212, do dwu konkretnych lektur pozwalających dopełnić wywody Wejs-Milewskiej, tj. do artykułu Kazimierza Adamczyka na temat *Happy-endu* Tadeusza Nowakowskiego oraz do własnego tekstu z książki *...strofy dla mew i mgieł... Z dziejów literatury Drugiej Emigracji (i jej relacji komunikacyjnych)* (Toruń 2005)), ale nie możemy oczekiwać, by autor recenzowanego dzieła patrzył na przedstawione fakty naszymi oczyma.

Liczne zastrzeżenia czy wręcz dyskredytujące autorkę książki uwagi recenzenta mieszają nieraz charakter tyleż napastliwy, co „intuicyjny”. Sądzę, że Lewandowskiemu byłoby łatwiej zrozumieć sens i pożytek badań Wejs-Milewskiej, gdyby tak odczłowieczył pominął pierwsze słowa w tytule tej książki; a brzmi ono „Radio”. Jako radioznawca nie mam szczególnych kłopotów z uchwyceniem dokonań autorki ani ze zrozumieniem sensu powstania takiej pozycji. Benedyktyńska praca Wejs-Milewskiej, niebywale czasochłonna kwerenda (w sytuacji obcowania z radiem nie wystarczy o d c z y t a ć, trzeba też, nieraz wielokrotnie, o d s ł u c h a ć), przywróciła nie tylko historii radia, ale – w większym lub mniejszym stopniu – także historii literatury pięciu wybitnych twórców. Skoro zaś Wejs-Milewska nie poprzestała na prostej, choć skądinąd i tak bardzo cennej, pracy dokumentacyjnej, warto dostrzec okoliczność, iż musiała poprzedzić pisanie swej książki solidną pracą przygotowawczą. Potrzebne tu były nie tylko – co oczywiste – kompetencje filologiczne, ale także, bardziej lub mniej gruntowna, znajomość wielu innych dyscyplin i subdyscyplin, takich jak: socjologia kultury i teoria komunikacji, teoria informacji, semiotyka, historia sztuki, muzykologia, akustyka. Tymczasem Lewandowski dzieli się wrażeniem,

że „autorka nie zapanowała nad pozyskany materiałem archiwalnym. Raz po raz o czymś zapomni, innym razem powtórzy coś, co zaprezentowała wcześniej” (s. 210). Ciekawam, czy ktokolwiek byłby w stanie napisać wolumen tej wagi (w każdym znaczeniu) i niczego nie powtórzyć ani o żadnym drobiazgu nie zapomnieć. Co do panowania autorki nad materiałem archiwalnym – mamy zasadniczo inne zdania. Warto też, jak sądzę, podkreślić, że każdy z rozdziałów mógłby – ewentualnie po pewnych, nie tak znów wielkich zresztą, zmianach – stanowić osobną całość, co dałoby 5 książek! Sugestia, by zbadać coś jeszcze, muszą w takiej sytuacji dotyczyć przyszłości – i to nie nazbyt bliskiej. Dlatego np. nie rozumiem sensu pytania Lewandowskiego ze s. 208: „dlaczego »pisarzem w radiu« ma być Roman Palester, a np. Zygmunt Jabłoński [...] »pisarzem w radiu« nie jest?” Wejs-Milewska nie pisze nigdzie, o ile mi wiadomo, że Jabłoński nie był „pisarzem radiowym”. Po prostu nie poświęca mu w swej książce miejsca. Czy owe 5 rozdziałów, 5 postaci to za mało? Czyżby Lewandowski oczekiwał portretów kolejnych pięciu? A jednak połączenie tak różnych postaci „bohaterów” poszczególnych rozdziałów bynajmniej nie czyni książki mniej zborną; przeciwnie, informacje takie, jakie udało się autorce zdobyć (a warto o tym ograniczeniu pamiętać), potrafiła ona przekształcić w wywód, w moim przekonaniu, jasny, zharmonizowany i wiele wnoszący do naszej dotychczasowej wiedzy na ten temat.

„Spodziewałem się – pisze w swej recenzji Lewandowski – że we wstępie [...] znajdę objaśnienie zasad doboru postaci [...]” (s. 208). To bardzo znamieny fragment tekstu. „Spodziewałem się” – tzn. iż recenzent podchodził do lektury książki nie będąc w pełni otwarty na ewentualną dyskusję z jej tezami. Kategoryczność jego sądów pozwała przypuszczać, że towarzyszyło mu przeświadczenie, iż jego oczekiwanie, jego poglądy mają wartość *quasi*-dogmatyczną. Dalej zaś Lewandowski uzupełnia swe pytanie: „Chciałbym wiedzieć: dlaczego oni wszyscy i dlaczego tylko oni?” Rozumiem, że brak cudzysłowu przy określeniu „tylko” – wobec 537 stron własnego tekstu autorki, a ponad 730 stron całości – to zapewne żartobliwa konwencja lub błąd korektorski. Pozostawmy więc przy pierwszej części pytania – dlaczego akurat ci? Sądzę, że wybór Wejs-Milewskiej, jak w istocie każdy wybór, był z samej swej natury arbitralny i – jako taki – także jest *ex definitione* dyskusyjny. Śmiem wątpić w istnienie selekcji, eliminacji, podobnie jak i delimitacji, której nie można poddać dyskusji. Na pytanie „czemu ci?” można odpowiedzieć – „a czemu NIE ci?” Lewandowski proponuje przebadanie dorobku innych twórców. To znakomity pomysł, lecz już dla innego badacza. Pewne uchybienia, przeoczenia czy usterki nie mogą wszak przekreślić wagi i znaczenia tej rozprawy, która nie tylko ocaliła od niebytu dorobek radiowy pięciu twórców, odsłaniając nieznaną obszar literatury emigracyjnej, ale bogaci również naszą – pełną białych plam i czekającą na swych badaczy – historię radiofonii. Wejs-Milewska poszerzyła tę pozycję o 150-stronicowy aneks, co zresztą było pomysłem świetnym i niezmiernie cennym poznawczo. Tymczasem czytając recenzję chwilami odnosiłam wrażenie, oby mylne, że Lewandowski zdaje się odmawiać autorce książki wystarczających kompetencji do prowadzenia niezależnych badań naukowych. Nie z powodu przypisu 50 na s. 409, jak może sugerować jego domniemanie, ale ze względu na wagę dzieła, napisałam zdecydowanie pozytywną recenzję wydawniczą. *Nb.* we wskazanym przypisie Wejs-Milewska przywołuje także, skądinąd bardzo znaczącą, książkę Konrada Tatarowskiego *Literatura i pisarze w programie Rozgłośni Polskiej Radio Wolna Europa*. Tatarowski bardzo interesująco i odpowiedzialnie zajął się w tej książce instytucją, jaką było Radio Wolna Europa; Wejs-Milewską zainteresowali konkretni wybrani twórcy, którzy z tą rozgłośnią współpracowali i, oczywiście, w swej twórczości/działalności radiowej wypowiedzi własne opinie, nie tylko np. o książkach czy sztuce, ale także o historii Europy bądź o współczesnych wydarzeniach politycznych.

Nie rozumiem zarzutu recenzenta, iż Wejs-Milewska nie dostrzegła „amerykańskości” RWE; ja nie dostrzegam niczego, co by ten zarzut potwierdzało. Lewandowskiego wyraż-

nie irytuje „»nabożny« stosunek do emigracji, obracający się w całkowity brak dystansu” (s. 210). Podkreśliły, że idzie o tę opisywaną przez Wejs-Milewską emigrację, a ów bardziej lub mniej wyimaginowany „brak dystansu” urasta do miary zbrodni, inaczej myślącego i oceniającego badacza wykluczającej „z towarzystwa”. Nie spostrzegłam żadnych prób – które zresztą *ex definitione* musiałyby być daremne, skazane na niepowodzenie – ukrywania amerykańskości RWE. Zależy wszakże, co przez ową „amerykańskość” autor recenzji rozumie. Owszem, Wejs-Milewska mówi o „partnerstwie” (określenie chętnie i często używane przez Nowaka-Jeziorańskiego w odniesieniu do relacji polskiej sekcji z Amerykanami, choć bardziej odpowiednie byłoby nazwanie tego „autonomią” zespołu polskiego⁶), ale nie ukrywa też konfliktów. Jeśli nie pisze na ten temat, zdaniem Lewandowskiego, dostatecznie obszernie, to zapewne dlatego, że nie tego dotyczy jej książka. To oczywiste, że pełnej swobody nie było także w polskich instytucjach emigracyjnych. W grę wchodziły wszak złożone racje polityczne i interesy rozmaitych stronnictw czy wręcz koterii. Nie inaczej było i w RWE. Zarzut Lewandowskiego jednak wydaje się tym bardziej nietrafny, a co najmniej wysoce dyskusyjny, że swoją uwagę Wejs-Milewska skupiła na programie kulturalnym, którym Amerykanie w praktyce się nie interesowali. Zarzut zaś, iż autorka podąża za Nowakiem-Jeziorańskim, wieloletnim dyrektorem monachijskiej sekcji RWE, wydaje się zdumiewający, jako że dopiero pominięcie jego osoby byłoby chyba decyzją, w książce o takim tytule, kuriozalną. Właśnie ukazała się na rynku bardzo wnikliwa i cenna książka wspomnianego już Konrada Tatarowskiego poświęcona Jeziorańskiemu, pt. *Aksjologia i polityka w publicystyce i działalności Jana Nowaka-Jeziorańskiego*. To tam „bohaterem opowieści” jest Jeziorański; w książce Wejs-Milewskiej pojawia daleko rzadziej i w innej, by tak rzec, roli. Stwierdzenie zaś, iż autorka recenzowanej książki „wiernie i bez dystansu [za nim] podąża” (s. 208), mnie osobiście zupełnie nie przekonuje; można o tym, co najwyżej, dyskutować. Wejs-Milewska stosuje zresztą konsekwentnie w całej książce zasadę zderzania sądów i wypowiedzi, ograniczając własny komentarz do nieuniknionego wprowadzenia. Takie przyjęła założenie i miała do niego pełne prawo.

Niechęć do uznania zasług bohaterów książki Wejs-Milewskiej jako „ludzi radia” wyziera także z dalszych partii recenzji. A jednak wielką zasługą książki jest odkrycie pisarza w kompozytorze, za jakiego głównie (by nie rzec: wyłącznie) uchodził w powszechnej świadomości Roman Palester. Jak podkreśliła we wspomnianej już laudacji Nina Taylor-Terlecka:

do najciekawszych jej [tj. Wejs-Milewskiej] odkryć należy „odstąpienie” profilu pisarskiego Romana Palestra, który był nie tylko wybitnym kompozytorem (radzę sięgać po monografię Zofii Helman), ale i świetnym prozaikiem, felietonistą i polemistą, zdaje się, niemal zapomnianym na emigracji, gdzie, o ile mi wiadomo, nie odnotowano ani 100-lecia jego urodzin w 2007 r., ani 20-jej rocznicy zgonu w 2009 r.⁷

Bez Palestra istotnie trudno byłoby mówić o programie kulturalnym tego radia; choć z profesji kompozytor, był jego szefem aż przez lat 20, a jego pomysły podziału ramówki przetrwały długi czas na antenie. Nie tylko redagował blok kulturalny, ale pisując felietony, stał się „pisarzem radiowym”. Przy okazji prezentacji rozdziału o tym twórcy (zresztą nie tylko o tym) Lewandowski wyrzuca autorce recenzowanej książki kwestie same w sobie może istotne, ale niekoniecznie już tak ważne wobec rozmiarów dzieła. Na prawach wyjątku więc tylko ośmielę się sprostować, że zdjęcie dramatu Witkacego z afisza nie było

⁶ Zob. L. Gawlikowski, *Mitologia ery tworzenia Rozgłośni Polskiej RWE*. W zb.: *Radio Wolna Europa w polityce polskiej i zachodniej. Materiały konferencji naukowej, Warszawa, 30 listopada – 1 grudnia 2007*. Red. A. Borzym, J. Sadowski. Warszawa 2009.

⁷ Taylor-Terlecka, *op. cit.*, s. 20.

oznaką „wyczerpania się” sztuki – jak to ocenia Lewandowski (s. 209). Kontekst polityczny wyjaśnił, wystarczająco, jak się zdaje, Janusz Degler⁸, choć oczywiście rozpoznał rzecz po latach, podczas gdy Palester wiedział o tym od razu. Może była mu w tym pomocna korespondencja z krajem? Natomiast fakt, że Palester od momentu rozpoczęcia swej pracy w RWE był w kraju nie tylko konsekwentnie przemilczany, ale wręcz niszczone – także dosłownie – jest powszechnie znany (niszczono wydania jego partytur, usuwano jego nazwisko z encyklopedii muzycznych, odebrano mu prawa do honorarium za wykonania jego utworów, *etc.*). Sprawy te wydają się już dziś na tyle dobrze rozpoznane, że sprowadzanie dyskusji i zarzutów wobec książki Wejs-Milewskiej do zastrzeżeń tego typu łatwo może nas zwodzić na manowce „bitwy na szczegóły”, o które wszak w tak obszernej książce z definicji łatwo.

Z podobnych względów jak w przypadku Palestra znalazło się w recenzowanej książce miejsce dla Tadeusza Nowakowskiego, który przepracował w RWE ponad 30 lat. Autorka wymienia dokonania pisarskie Nowakowskiego (które, oczywiście, mogą podlegać różnej ocenie, ale – jako powstałe podczas pracy w radiu – wszystkie mają „radiową sygnaturę” na rozmaitych poziomach), wychodząc zapewne ze słusznego założenia, iż bez niego i jego wkładu w program kulturalny opisanie działalności RWE też byłoby wyraźnie niepełne. Konflikt Nowakowskiego z Nowakiem-Jeziorańskim – aczkolwiek nie do pominięcia – nie miał, jak sadzę, dla Wejs-Milewskiej kluczowego znaczenia. Konflikt ten wydaje się zresztą bardziej złożony, stanowiąc temat na osobną dyskusję, a może i cykl artykułów lub nawet książkę, niosącą kolejne rozpoznania. Dopiero wówczas byłoby miejsce na formułowanie wniosków ostatecznych. Droga do dalszych studiów jest wolna i zaprasza na swój trakt wszystkich zainteresowanych badaczy. Z kolei Grudziński mało mówił o swej pracy w RWE, a w książce znalazło się jednak sporo jego materiałów z czasów, gdy współpracował z rozgłośnią; i bardzo dobrze, moim zdaniem, że autorka uznała, iż warto o tym napisać. Straszewicz swe miejsce zawdzięcza zapewne temu, że Wejs-Milewska od lat pracuje nad pełną monografią jego twórczości i życia. Terlecki natomiast był jedną z najważniejszych osób w łonie polskiej emigracji – „twardy” emigrant, który „od zawsze” cenił radio: i to przedwojenne, i to powstałe dzięki Amerykanom. Nietrudno odszukać na to dowody w omawianej książce. Autorka dokonała pierwszego rozpoznania w jego dorobku radiowym, wydobyła z niepamięci nieznane skrypty, stworzyła pierwszą próbę określenia jego profilu radiowego.

Co do kryteriów wyboru zatem – dla mnie najistotniejsze jest uwzględnienie właśnie relacji twórca–radio. Podejrzewam, że dla recenzenta kontakt z *medium* radiowym, szczególnie gdy nie cenił go zanadto sam twórca, był czymś deprecjonującym. Jak łatwo zgadnąć, różnimy się tu zasadniczo, nie sądzę bowiem, niezależnie od poglądów samych bohaterów w tej kwestii, iżby praca dla RWE była tylko swoistą stratą czasu, który można by przeznaczyć na twórczość „prawdziwą”. Ale nawet przyjmąwszy taką supozycję, też trzeba by się zastanowić, czy szło o tę konkretną rozgłośnię, czy o *medium* radiowe w ogóle. Autor recenzji jakby zbagatelizował okoliczność, że tak „Tadeusz Nowakowski [jak i pozostali – dodajmy] jest niewątpliwie przykładem pisarza radiowego i zarazem »pisarza w radiu«” – jak trafnie podkreśliła to Violetta Wejs-Milewska w swej książce⁹. A fakt ten wywołuje dość daleko idące reperkusje. Dla mnie bowiem jednym z najciekawszych pytań, jakie można sobie postawić badając dorobek kogoś o życiorysie zbliżonym do wybranych przez Wejs-Milewską twórców czy – pominąwszy tu na chwilę

⁸ J. Degler, *Witkacego perypetie z cenzurą*. W zb.: *Muzy i Hestia. Studia dedykowane Profesor Ludwice Słękowej*. Red. M. Cieński, J. Sokolski. Wrocław 1999.

⁹ V. Wejs-Milewska, *Radio Wolna Europa na emigracyjnych szlakach pisarzy*. Gustaw Herling-Grudziński, Tadeusz Nowakowski, Roman Palester, Czesław Straszewicz, Tymon Terlecki. Kraków 2007, s. 537.

osobę Romana Palestra – twórczość pisarzy bardziej lub mniej trwale współpracujących z radiem, jest kwestia, co dzieje się z pisarzem, gdy „wchodzi” do radia. Czy swój talent, swój sposób pisania, ale i swoje poglądy, sposoby kreowania świata i mówienia o nim zostawia „w szatni”, czy też pozostaje ciągle tym samym twórcą, niekiedy nawet wbrew sobie, wypowiadając się także w gatunkach pozaliterackich, afkcyjnych. (Pomijam tu oczywiście słuchowisko.) Więcej, owo pytanie rozszerza się, wchłaniając problem jeszcze istotniejszy, być może dotyczący już raczej teorii komunikacji niż „czystego” literaturoznawstwa, jakkolwiek je dzisiaj definiować. Podstawowe bowiem jest dla mnie pytanie: na ile i jak zmienia się *instytucja literatury*, której do tej pory ów pisarz był częścią, ta instytucja znaków, norm estetycznych, kategorii określonych przez podmiot mówiący, instytucja obejmująca standardy, jakie cechują wypowiedź artystyczną, składające się na – by przywołać termin formalistów rosyjskich – „literackość” dzieła, zatem jak się zmienia ta *quasi-instytucja* i jej członkowie, gdy wchodzi do *instytucji „prawy”*, rozumianej dosłownie jako – w przypadku radia – miejsce obfitujące w kabelki, pokrętła, mikrofony, wyciszone studia, instytucji prowadzącej działalność unormowaną przepisami prawnymi, ale i panującymi tam zwyczajami oraz przyporządkowaną – jak RWE – także określonej celowi politycznemu, instytucji, w której w dodatku pracuje relatywnie wiele osób. Co się dzieje z twórcą, gdy znajdzie się w miejscu jakże różnym od archetypicznie niemal pojmowanego warsztatu pisarskiego (przysłowiowego biurka, pióra i kartki papieru)? Pozytywne i negatywne skutki rozwoju cywilizacyjnego zakwestionowały w ubiegłym wieku „sakralną” rolę sztuki, pozbawiając ją w jakimś stopniu cechy podstawowej – jej autoteliczności. Kontekst zewnętrzny odsłonił jej słabość, ukazując, jak zauważyli choćby liczni semiolodzy, jej głębokie, nawet jeśli nieświadomione, związki ze społecznym, politycznym, ideologicznym wymiarem rzeczywistości. Te, tylko na pozór czysto zewnętrzne, okoliczności mają więc znaczący wpływ na to, co powstaje.

W konkluzji ośmielam się sądzić, iż tworząc – w sposób nawet nie nadto zawołowany – spiskową teorię wydania tej książki, autor recenzji jest w błędzie. Jeśli ustosunkowując się do wartości liczącej ponad 730 stronicy pozycji, zaopatrzonej w aneks, Lewandowski formułuje swe wnioski na podstawie zastrzeżeń do kwestii, w moim odczuciu, często mniej istotnych i nie dostrzega oczywistych zalet pracy, nachodzą czytelnika jego tekstu wątpliwości dotyczące trafności wyrażanych przez niego ocen. Książek tak obszernych, ba – artykułów, którym niczego nie można „wytknąć”, które nie prowokują do dyskusji, po prostu, jak sądzę, nie ma. Ogląd dzieła, a potem pisanie o nim w sposób taki, jak czyni to autor recenzji – użyję tu sparafrazowanego (dla złagodzenia wydźwięku jednego z ostatnich zdań tekstu) sformułowania samego Lewandowskiego (s. 215): „Nie jest [...], rzecz jasna, wykroczeniem, jednakże [...] działaniem [może nie do końca] eleganckim”, a nade wszystko – nie do końca przekonującym naukowo. Mnie ono w każdym razie nie przekonało.